

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
Z kim i w co gra prezydent
- 15 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Dwa światy, dwie opinie

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska
Asesorzy szeryfa Ziobry
- 21 Rozmowa z **Katarzyną Lubnauer** o niemodnych partiach i nietotalnej opozycji
- 23 Dr hab. **Marcin Zaremba** o podobieństwach między rządami PiS a czasami PRL

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla
Sieciowe życie młodych
- 30 Joanna Podgórska
Lekarze kobietom
- 32 Ryszarda Socha
Spotkanie klas nad Bałtykiem
- 35 Edyta Gietka
Żony marynarzy
- 38 Juliusz Ćwieluch
Pizzeria dla życiowo pogubionych

- 40 Łukasz Wójcik
Euro – trzeba się zdecydować

Co po PiS?

Rynek

- 44 Joanna Solska
Apartament w condo hotelu – czy to się opłaca
- 48 Adam Grzeszak
Biznes narzędzi tortur

Świat

- 50 Marek Ostrowski
Tomasz Zalewski USA
John McCain – przywódca republikańskiej opozycji
- 53 Aleksandra Lipczak
Miasta lepsze niż państwa
- 56 Rozmowa z dziennikarką **Jeleną Kostuczenko** o więzieniach dla gejów w Czechenii



18

Armia Ziobry



32

Plaża z klasą



40

Co po PiS: Kiedy euro



100

Matka Polka multi-kulti

Historia

- 58 Jerzy Kochanowski
Jak PRL otwierała się na Zachód
- 61 Jan M. Długosz
1942: bohaterowie maltańscy

Nauka

- 64 Agnieszka Krzemińska
Tak się mieszało w zamku
- 68 Rozmowa z dr hab. inż. **Joanną Pawłat** o leczeniu plazmą i życiu w Japonii
- 71 TECHNOECHO

Kultura

- 76 Mirosław Pęczak
Czego nowego dowiedzieliśmy się o milenialsach
- 78 Justyna Szklarczyk „**Minu**”, czyli opowieść o sile plotki
- 80 **Almudena Grandes**, autorka „Pocałunków składanych na chlebie”, o odrodzeniu ludzkiej solidarności
- 82 Janusz Wróblewski
François Ozon – od klasyki do perwersji
- 84 Jakub Knera
Festiwal w Salzburgu – przystanek elit
- 86 Joanna Szymajda POLEMKA
Tańce nieporównywalne
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 88 Ryszard Wolff
Logo na ubogo
- 92 Rozmowa z **Marcinem Matuszewskim** o odkrywaniu piłkarskich gwiazd

Na własne oczy

- 100 Joanna Leszczyńska
fotografie Anna Musiałówna
Wychowanie dzieci w stylu multi-kulti

Stałe rubryki

- 4 Mleczo i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 72 Afisz • 94 Passent • 95 Chutnik i Plebanek • 96 Stomma • 97 Fusy • 98 Do i od redakcji • 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ktoś coś kręci

Ogłaszając powstanie Polskiej Fundacji Narodowej, premier Szydło wyjaśniła, że jej zadaniem będzie „pokazanie Polski pięknej, przyjaznej, ambitnej, w której są możliwości, wspaniali ludzie i pomysły”. Jednym z ludzi uosabiających ambitną Polskę wielu pomysłów i możliwości jest prezes tej fundacji C. Jurkiewicz, lider radnych PiS w Warszawie, szef Klubu Gazety Polskiej i koordynator służby ochraniającej miesięcznice smoleńskie. O tym, jakie możliwości mają dziś w Polsce ludzie tacy jak Jurkiewicz, najlepiej świadczy to, że zanim został prezesem PFN, był m.in. zastępcą dyrektora cmentarza na Woli. W ramach pokazywania Polski jako kraju ludzi z pomysłami, Jurkiewicz ma już kilka ambitnych pomysłów, a jednym z nich jest zaangażowanie Mela Gibsona i Clinta Eastwooda do nakręcenia filmów o powstaniu warszawskim.

Przygotowania do superprodukcji w ich reżyserii są w fazie wstępnej, tzn. rozpoczęły się rozmowy. Na razie nie są to jeszcze rozmowy z samym Gibsonem i samym Eastwoodem, tylko rozmowy dotyczące się wewnątrz PFN, o tym, jak się z nimi skontaktować, żeby ich do rozmów nakłonić, oraz kiedy, gdzie i w jaki sposób rozmowy te miałyby się odbyć. Jak na razie Gibson i Eastwood zapewne nic nie wiedzą o propozycji PFN ani nawet o istnieniu tej instytucji. I moim zdaniem

dobrze, bo jak się dowiedzą, będzie to dla nich miłą niespodzianka, która, miejmy nadzieję, ostatecznie przekona ich do udziału w projekcie, mimo skromnego honorarium.

Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy po tym, jak o powstaniu warszawskim Donald Trump poinformował świat w swoim przemówieniu, jest sens zwracać tym tematem głowę Gibsonowi i Eastwoodowi. Zwłaszcza że w Polsce można nakręcić atrakcyjne filmy na tematy, o których Trump jeszcze w swoich przemówieniach nie mówił i które ludziom takim jak on, Gibson czy Eastwood nawet się nie śniły. Wprawdzie film o zamachu smoleńskim udało się nakręcić bez ich pomocy, ale wciąż nieruszony jest temat bulwersującego zamachu na Antoniego Macierewicza, gdzie, jak czytam, jedna osoba już usłyszała zarzut „podjęcia przygotowań do usunięcia go przemocą poprzez fizyczną likwidację”. Przygotowania miały polegać na zbieraniu informacji dotyczących miejsca zamieszkania i wykonywania czynności urzędowych przez Macierewicza, prawdopodobnie po to, żeby się w tych miejscach na niego zacząć. Fakt, że zamachowiec nie wiedział, gdzie szef MON urzęduje, mógłby świadczyć o jego niepełnej sprawności umysłowej, ale nie przesądzajmy sprawy, zwłaszcza że prokuratura nie udziela na ten temat żadnych informacji. Zresztą słusznie, bo uważam, że wszystkiego i tak dowiemy się z filmu Gibsona albo Eastwooda.





Pokój, który zmienia się wraz z dzieckiem

Pokój najmłodszych domowników to miejsce, które wraz z upływem lat często musi przejść metamorfozę. Mały szkrab potrzebuje nieco innej aranżacji pokoju niż uczeń szkoły podstawowej.

Dobrze zaprojektowana przestrzeń powinna być funkcjonalna – mieć miejsce do zabawy, nauki czy wypoczynku. Do przechowywania polecamy pudełka SLAKTING – dzięki odkładaniu wszystkiego na miejsce pociechy nauczają się odpowiedzialności, a wszystko będzie pod ręką.

Smyki w wieku szkolnym każdego dnia spędzają co najmniej godzinę na odrabianiu lekcji. Szybko też rosną. Warto postawić na bezpieczne i funkcjonalne rozwiązanie, którym jest biurko PÅHL. Ma regulację wysokości blatu (59, 66 lub 72 cm), więc rośnie wraz z dzieckiem i dba o jego kręgosłup. Do biurka można dobrać krzesło VIMUND. Ma ono szereg zalet, w tym regulowaną głębokość i wysokość siedziska, a dzięki kontroli wysokości dziecko może siedzieć z rodziną i odrabiać lekcje nawet przy kuchennym stole. Pokrycie krzesła jest elastyczne i zdejmowalne, co ma duże znaczenie w przypadku małych artystów.

Komfortowo urządzony pokój spodoba się maluchowi, jak i jego rodzicom. I kto wie, może właśnie przy biurku PÅHL powstanie jakieś dzieło sztuki?



POLECAMY: System modułowych mebli do pokoju dziecięcego STUVA rozbudujemy do woli, a drzwi szafek wiszących można kiedyś wymienić na te z rodziny BESTA, dzięki czemu pokój będzie bardziej dopasowany do gustu nastolatka.



PORADA: Jeśli dziecko jest praworęczne, lampka biurkowa powinna stać z lewej strony, by cień nie padał na blat podczas pisania (lub analogicznie po prawej stronie, jeśli dziecko jest leworęczne).

Strategia szaleńca



Jerzy Baczyński

Mało relaksowy ten sierpień, nie tylko ze względu na pogodowe anomalie. Media światowe mocno przeżywają pogrózki północnokoreańskiego dyktatora Kim Dzong Una (piszemy o tym też na s. 10), zapowiadającego nuklearne uderzenie w amerykańskie bazy na wyspie Guam. Przez lata Kim rzucał już wielokrotnie najstraszliwsze groźby pod adresem sąsiadów i amerykańskich imperialistów, ale na słowach się kończyło. W dyplomacji ta szczególna metoda negocjacyjna Kimów (podobnie postępowali jego przodkowie u władzy) zyskała nazwę „strategii szaleńca”.

Najkrócej: chodzi o demonstrację własnej nieobliczalności, nieodpowiedzialności, ba, gotowości poświęcenia życia milionów ludzi i spustoszenia także własnego kraju dla utrzymania się przy władzy. Jeśli krwawy i zarazem groteskowy reżim Kimów wciąż trwa, to między innymi dlatego, że nikt, nawet jego chińscy protektorzy, nie chce sprawdzać, ile w tym jest blefu. Atomowy szantaż Kima stał się też testem dla Donalda Trumpa. Bombastyczna odpowiedź Trumpa (obiecującego Kimowi „fire and fury”) zaniepokoiła sojuszników Ameryki, bo retoryczna licytacja amerykańskiego koguta z koreańskim kabotysem może wymknąć się spod kontroli. Niby nikt nie wierzy, że będzie inaczej, niż dotąd bywało, ale jednak Amerykańscy i natowscy sztabowcy szykują scenariusze na wypadek Lepiej Nie Mówić Czego.

Jakby tego było mało, za kilka dni Rosja kończy przygotowania do, największych w Europie od zakończenia zimnej wojny, manewrów Zapad 2017. Zapad (dla tych, co nie pobierali rosyjskiego w szkole) znaczy Zachód i taki też będzie kierunek pozorowanych uderzeń. Już w połowie września nadalby granicy Rosja–NATO oraz na terytorium Białorusi znajdzie się masa sprzętu i ponad 100 tys. rosyjskich żołnierzy, w tym Pierwsza Gwardyjska Armia Pancerna, uchodząca za ofensywną pięść Armii Czerwonej. Manewry Zapad odbywają się co cztery lata, ale te są pierwsze od czasu aneksji Krymu i dramatycznego pogorszenia stosunków Zachodu z Rosją.

Analitycy natowscy spodziewają się, że jednym z bezpośrednich celów manewrów będzie wprowadzenie wojsk i baz rosyjskich na Białoruś, co oznaczałoby przywrócenie putinowskiej kontroli nad Aleksandrem Łukaszenką i zaszachowanie krajów tzw. wschodniej flanki NATO oraz Ukrainy. Byłaby to zmasowana, przeskalowana odpowiedź na rozmieszczenie w Polsce i krajach nadbałtyckich czterech, w sumie 4-tys., batalionów natowskich. Nerwowość w sztabie NATO budzi złamanie przez Rosję reguł transparentności

manewrów przewidzianych w porozumieniu wiedeńskim. Eksperci przypominają, że inwazja zarówno na Gruzję, jak i na Ukrainę była poprzedzona podobnymi ćwiczeniami. A także to, że ćwiczenia Zapad 2009 obejmowały symulowany nuklearny atak na Warszawę. Niby nikt nie wierzy, żeby Putin miał popełnić jakieś szaleństwo, ale trwa strategiczny alert.

Tymczasem nasza armia, która jak zawsze pięknie prezentuje się w uroczystej paradzie z okazji Święta Wojska Polskiego („Przez parę tygodni ćwiczyliśmy marsz do muzyki” – chwalił się w telewizji jeden z dowódców parady), aktualnie jest pozbawiona dowódców, bo kilkudziesięciu doświadczonych i certyfikowanych przez NATO generałów oraz setki innych dowódców minister obrony Antoni Macierewicz zwolnił ze służby (zapewne ulegając własnej paranoicznej podejrzliwości), a „swoich”, wskutek kadrowego weta prezydenta Dudy, nie zdołał powołać.

Tragedia jest, jeśli chodzi o zakupy sprzętu. Jak podaje POLITYKA INSIGHT, marynarka wojenna przystąpiła właśnie do remontowania ostatnich dwóch sprawnych, zbudowanych przez Norwegów pół wieku temu, okrętów podwodnych. To samo ze śmigłowcami: miały być nowe, nie ma żadnych. Marzenia o szybkim zakupie rakiet Patriot okazały się mrzonką. Zamiast modernizacji armii mamy „żołnierzy wyklętych Macierewicza”, czyli oddziały partyzanckiej obrony terytorialnej; mamy otwarty, kompromitujący konflikt z prezydentem; do tego brednie firmowanej przez MON komisji smoleńskiej, kabaretowe plany budowy pociągu pancernego z salonką dla ministra, zakupu 2 tys. ręcznych miotaczy ułotek i jeden realny sukces – sprowadzenie, bez przetargu, luksusowych samolotów dla rządowych vipów.

W tej sytuacji nawet podejrzenia zawarte w książce Tomasza Piątka czy też w artykułach zachodnich gazet, że Macierewicz może być manipulowany przez rosyjską agenturę, tak naprawdę nie mają znaczenia. Wystarczą suche fakty, aby nabrać przekonania, że szef MON szkodzi polskiej armii, obronności, bezpieczeństwu i powadze państwa.

Dlaczego zatem Jarosław Kaczyński go nie zdymisjonuje? Wiadomo: Smoleńsk, poparcie o Rydzyka i narodowców, gwarancja sterowania kontraktami zbrojeniowymi, budowy partyjnej armii itp. Ale też pełna bezkarność spowodowana zanikiem w PiS merytorycznych, pozapartyjnych, kryteriów oceny kadr (s. 15). Jeśli władza nie uznaje żadnych autorytetów ani ekspertów, oprócz własnych, jeśli każdą krytykę traktuje jako akt wrogi lub niebyły, jeśli opinie zagraniczne są neutralizowane argumentami o nieznajomości faktów, manipulacji lub ataku na suwerenność, to minister (ten i każdy inny) może w sumie robić wszystko i cokolwiek, na co mu prezes pozwoli.

Obiektywnie stan armii zweryfikowałaby tylko (nie daj Boże) jakaś wojna; choć właściwie też nie, bo przecież nikt tak jak PiS nie potrafi obrócić klęski i ofiar, a nawet zwykłego wstydu, w powód do narodowej dumy i pomnikowej celebracji. Uprawiamy lokalną wersję strategii szaleńca, budowaną na wierze, że nasi partnerzy będą bardziej od polskich władz odpowiedzialni, w razie czego nas obronią i pomogą; jakkolwiek się będziemy zachowywać, nie nałożą sankcji, nie wyrzucą z Unii ani z NATO, bo przecież powinno im zależeć, żeby Polska nie zginęła.

Jan Koza



© JAN KOZA



© BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Złota medalistka w rzucie młotem Anita Włodarczyk

Ludzkie mistrzostwa

Nasza narodowa specjalność, czyli rzut młotem, konkurencja niszowa i o nikłym potencjale społecznym (rozumianym jako chęć do naśladownictwa), dała Polsce miejsce w czołówce klasyfikacji medalowej i punktowej mistrzostw świata w lekkiej atletyce. Miłe urozmaicenie po minimalistycznym wyniku z igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro. Tym razem radość miała

wszechstronne źródła. Medale w skokach, biegach, a wreszcie najlepsze w historii, czwarte miejsce w klasyfikacji punktowej, świadczą, że w polskiej lekkiej atletyce jest dobrze.

To były najbardziej ludzkie mistrzostwa od lat. Ludzkie, bo nieprzewidywalne i wolne od rekordowych zawrotów głowy, co może oznaczać aż tyle, że strach przed przyłapaniem na dopingu wymusił w lekkoatletycznym świecie grę fair. Albo tylko tyle, że w sezonie poolimpijskim następuje zwyczajowe rozprężenie, stąd wyniki są mało wyśrubowane, a rekordowe starania na dodatek storpedowało przenikliwe londyńskie zimno. Nieprzewidywalność miała dla wielu twarz Usaina Bolta, giganta sprintu, który zaczął swój pożegnalny start od porażki w biegu indywidualnym, a zakończył, cierpiąc z powodu kontuzji niweczącej wysiłki jamajskiej sztafety. Sensacjami sypnęło też w innych konkurencjach. Faworyci przegrywali na ostatniej prostej, pokonani przez niemoc albo kontuzje.

Jeśli za miarę emocji wobec lekkoatletycznych bohaterów wziąć reakcje londyńskiej publiczności, nie ma w sportowym świecie miejsca dla notorycznych, w swoim czasie, dopingowiczów, pokroju amerykańskiego sprintera Justina Gatlina. Jest życzliwe zrozumienie dla reprezentantów Rosji, którym nadano certyfikat czystości, uniemożliwiając jednocześnie start pod własną flagą. Jest wreszcie jednoznaczna aproba dla Caster Semenyi i kilku innych biegaczek z wyraźnym hiperandrogenizmem, czyli ekspresją cech męskich (zwłaszcza nadprodukcją testosteronu). Kwestia farmakologicznego ograniczenia ich naturalnej przewagi wróci niebawem na wokandę Trybunału Arbitrażowego w Lozannie. Takie czasy, że finał tego, co na bieźni, trafia do sądów. (MP)

Gdzie lubimy protestować

Przez ostatnie 13 lat obywatele 10,5 tys. razy zbierali się w Warszawie, aby demonstrować. Stolica, siedziba niemal wszystkich instytucji centralnych, to miasto, gdzie demonstruje się najczęściej. Informacje o zgromadzeniach warszawski urząd miasta udostępnia od 2004 r. Na ich podstawie organizacja MamPrawoWiedziec.pl sprawdziła, jak obywatele korzystali z prawa do zgromadzeń, zanim w ostatnich tygodniach wyszli na ulice protestować przeciwko zmianom w sądownictwie. Okazuje się, że ostatnie dwa lata – czyli odkąd PiS przejął władzę – są rekordowe pod względem liczby demonstracji w Warszawie.

Do czasu wygranych przez PiS wyborów parlamentarnych średnia liczba zarejestrowanych zgromadzeń w ciągu roku to 559. Ale już w 2016 r. obywatele demonstrowali 2418 razy, a w pierwszej połowie 2017 r., do końca czerwca, urzędnicy ratusza zarejestrowali już aż 1435 zgromadzeń.

Od października 2015 r. do końca czerwca tego roku przez ulice Warszawy przeszły 4093 demonstracje. Co druga uwzględniła na swojej drodze Kancelarię Premiera. 205 razy obywatele wyrażali poglądy przed budynkiem Sejmu. Pałac

Prezydencki znalazł się w 154 zgłoszeniach. Demonstrowano też przed siedzibą PiS, przy Nowogrodzkiej, bo jak wiadomo, to tam rozstrzygają się losy kraju, a także przed domem prezesa Kaczyńskiego na Żoliborzu.

Od wyborów parlamentarnych w 2015 r. odbyło się 117 demonstracji pod ministerstwami: 37 pod Ministerstwem Sprawiedliwości, 19 pod Ministerstwem Zdrowia, 11 pod Ministerstwem Środowiska. 24 zgromadzenia miały miejsce przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego w al. Szucha, połowa z nich – na przełomie 2015 i 2016 r., czyli po pierwszej nowelizacji ustawy o TK za rządów PiS.

Przypomnijmy, że 13 grudnia 2016 r. PiS przyjął kilka poprawek do prawa o zgromadzeniach, m.in. zakaz zgłaszania dwóch zgromadzeń w tym samym miejscu i czasie oraz możliwość organizowania cyklicznych demonstracji. Do końca lipca 2017 r. wojewoda mazowiecki wydał zgodę na jedno zgromadzenie cykliczne: „oddanie hołdu Ofiarom katastrofy w Smoleńsku”. Decyzji odmownych wojewoda nie wydał, bo też inne demonstracje nie są zgłaszane w trybie zgromadzenia cyklicznego.

(DĄB.)

Od NSO do SOP

Czyli jak PiS reorganizuje BOR

Nazajutrz po tym, jak samochód Biura Ochrony Rządu z premier Beatą Szydło rozbił się na drzewie w Oświęcimiu, minister Mariusz Błaszczak i wiceminister Jarosław Zieliński zapowiedzieli reorganizację BOR i powołanie nowej formacji o nazwie Narodowa Służba Ochrony. Wiceminister Zieliński dla Polsat News powiedział, że „nikt lepszego pomysłu na nazwę, która byłaby adekwatna do zadań Biura Ochrony Rządu, nie zgłosił”. Nie wykluczył, że taki jeszcze się narodzi. I tak się też stało, bo MSWiA do konsultacji międzyresortowych przedstawiło już projekt ustawy o Państwowej Służbie Ochrony. Po konsultacjach projekt trafił 31 lipca br. na posiedzenie Rady Ministrów. Został zatwierdzony i skierowany do Sejmu, tyle że jako projekt ustawy o Służbie Ochrony Państwa.

Nie wiadomo, dlaczego rząd nazwę nowej formacji zmienił z PSO na SOP. Czy pomysłodawcy nowej służby chcą jej nazwą podkreślić, że ta będzie ochraniać całe państwo, a nie tylko rząd? A może jakiś „komunistyczny złóg” podsunął tę nazwę, by opozycja rozwijała skrót SOP jako „Służba Ochrony Prezesa”? M.H.



Czy warto czekać na polskiego Macrona?

Obrona konstytucji, wolności obywatelskich i miejsca Polski w UE – to stawka, o którą walczymy. Ważniejsza niż szukanie na siłę nowego narodowego przywódcy.

Sezon ogórkowy w polskiej polityce trwał w tym roku wyjątkowo krótko. Zaczął się pod koniec lipca, gdy opadło społeczne napięcie po decyzji prezydenta Dudy o zawetowaniu dwóch ustaw podporządkowujących partii rządzącej władzę sądowniczą. Skończył się, gdy dowiedzieliśmy się, że prezydent wreszcie odmówił żyrowania poczynąń Antoniego Macierewicza dewastujących obronę narodową. Tak należy interpretować decyzję prezydenta Dudy o odwołaniu nominacji generalskich w dniu Święta Wojska Polskiego.

Podczas krótkiego politycznego intermedium głośniejsz zabrzmiły publicystyczne głosy wyrażające nadzieję na pojawienie się męża opatrnościowego, który poprowadzi niechętną PiS część społeczeństwa do zwycięskiej ofensywy. Tęsknota za liderem tej Polski, która nie akceptuje wizji politycznej Jarosława Kaczyńskiego, nie jest nowa. Co najmniej od początku roku pojawiały się opinie, że liderzy partii opozycyjnych nie mają wystarczającego formatu politycznego, aby nawiązać prawdziwą rywalizację z przywódcą PiS. Jedni widzieli męża opatrnościowego w Donaldzie Tusku, opromienionym efektywnym wyborem na drugą kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej, inni – we Władysławie Frasyniuku, legendzie podziemnej Solidarności, a jeszcze inni podpowiadali PO i Nowoczesnej pokoleniową wymianę liderów.

Przekonujące zwycięstwo Emmanuela Macrona w wiosennych wyborach prezydenckich we Francji i efektywny początek jego prezydentury spowodowały nowe oczekiwanie: na pojawienie się polskiego Macrona, a więc kogoś, kto miałby być spoza dotychczasowych politycznych układów, najlepiej młodego i charyzmatycznego, promieniującego energią i zdecydowaniem.

Jest dla mnie oczywiste, że posiadanie lidera dużego formatu zawsze jest atutem obozu politycznego, a zwłaszcza narodu stojącego wobec historycznego wyzwania. Takim naszym wielkim atutem był Lech Wałęsa w przełomowej dekadzie lat 80. XX w. W sierpniu 1980 r. obserwowałem w Stoczni Gdańskiej błyskawiczny proces jego przeobrażania się z bezrobotnego opozycjonisty – wcale nieodgrywającego pierwszoplanowej roli w trójmiejskim środowisku opozycyjnym – w ogólnonarodowego przywódcę. Nie był to przypadek. Wyraستانی Wałęsa na przywódcę sprzyjało oczekiwanie strajkujących robotników, że przewodzą im będzie jeden z nich – ale mający już za sobą polityczne doświadczenie. Znaczenie miały także przywódcze cechy samego Wałęsy i zaakceptowanie go w nowej roli przez inicjatorów strajku z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

Wiem jednak dobrze, że taki zbieg okoliczności wcale nie jest regułą w sytuacji historycznego wyzwania. Wybitni przywódcy nie rodzą się na kamieniu. Polsce zabrakło ich na przykład podczas powstania listopadowego czy w 1939 r. – chociaż w tym drugim przypadku chyba nawet najwybitniejszy mąż stanu nie zdołałby odwrócić fatalnego dla Polski biegu wypadków.

A w jakiej sytuacji znajdujemy się obecnie? Ta część naszego społeczeństwa, która nie chce przekształcania Polski w państwo faktycznie autorytarne, chociaż zachowujące demokratyczną fasadę, nie dysponuje obecnie kimś, kto cieszyłby się powszechną

akceptacją jako narodowy przywódca. Trzeba ten fakt przyjąć do wiadomości. Być może wyłoni się on spośród postaci występujących aktywnie przeciwko „dobremu zmianie”. Jestem przekonany, że nie zabraknie nam okazji, w których kandydaci do narodowego przywództwa będą mogli – a nawet musieli – wykazać się charakterem i politycznymi kwalifikacjami.

Z pewnością nie należy go szukać na siłę i przedwcześnie proklamować jako męża opatrnościowego. Przykładowi Macrona warto przyjrzeć się uważnie. Gdy w naszym kraju wołano o polskiego Macrona, prezydent Francji osiągał najniższe notowania popularności po trzech miesiącach sprawowania urzędu spośród wszystkich prezydentów V Republiki. Oczywiście wcale to jeszcze nie oznacza, że przegrał, ale prawdziwy egzamin z kwalifikacji przywódczych jest dopiero przed nim i nie będzie on łatwy, gdyż Francuzi stawiają bardzo wysoko poprzeczkę swym prezydentom, a ich sympatie polityczne są zmienne.

Jest także mitem, że Macron jest osobą spoza politycznego establishmentu. Od lat należał do merytokratycznej elity V Republiki. Przez dwa lata był jednym z najbliższych współpracowników prezydenta Hollande’a w Pałacu Elizejskim, a przez następne dwa – potężnym ministrem finansów. W drodze do prezydentury miał wsparcie doświadczonych polityków, przede wszystkim wywodzących się z Partii Socjalistycznej, oraz wpływowych ludzi ze świata wielkich finansów i mediów. W niczym nie umniejszając jego wyborczego sukcesu, byłoby błędem widzieć w nim samotnego rycerza wyniesionego do władzy przez społeczeństwo obywatelskie wbrew klasie politycznej.

Polski Macron raczej się nie pojawi i nie uważam tego za nieszczęście. Jestem przekonany, że ta część polskiego społeczeństwa, która nie chce, aby nasz kraj podążał w kierunku wytyczanym przez Jarosława Kaczyńskiego, dysponuje znaczącym potencjałem. Zobaczyliśmy to w dniach lipcowych protestów przeciwko zmianom w sądownictwie. Tworzą ten potencjał opozycyjne parlamentarne i pozaparlamentarne partie polityczne, struktury społeczeństwa obywatelskiego i obywatelskie pospolite ruszenie. Wśród protestujących znajdowali się ludzie, którzy swój autorytet zbudowali w walce o wolną Polskę, znani artyści i działacze, przedstawiciele środowiska prawniczego oraz coraz liczniejsi aktywni młodzi Polacy.

Zapewne byłoby niemożliwe zjednoczenie tych wszystkich ludzi wokół klasycznego programu, z jakim ugrupowania polityczne idą na wybory. Są zbyt zróżnicowani. Znajdujemy się jednak na zupełnie innym etapie. Moim zdaniem uświadomienie sobie tego faktu jest sprawą najwyższej wagi. Ten etap to obrona konstytucji, wolności obywatelskich i miejsca Polski w UE. To stawka, o którą toczą się od późnej jesieni 2015 r. zmagania w naszym kraju. Tym, którzy to sobie uświadomią, nie będzie przeszkadzać wielobarwność ruchu opozycyjnego. Powinni oni także być wolni od pokusy narzucania innym swego zdania w kwestiach ekonomicznych, społecznych czy obyczajowych jako wspólnego stanowiska opozycji.

Dzięki lipcowym protestom i dwóm prezydenckim wetom uzyskaliśmy *pieredyszkę*. To niemało, ale przecież wiadomo, że ustrojowy plan Jarosława Kaczyńskiego nie uległ zmianie.

Już za tydzień z POLITYKĄ Z Kresów na Kresy

**Prawdziwa
historia
samyh swoich**

**Zasiedlenie Ziemi
Zachodnich**

**Utrata Kresów
Wschodnich**

**Jak Armia Czerwona
traktowała polskie
ziemie?**

**Życie w strachu
i niepewności losu**

**Co się działo na
Kresach Wschodnich
po wysiedleniach?**



POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 4/2016 Cena 24,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

Z Kresów na Kresy **Wielkie przesiedlenie Polaków**

Polska wypchnięta z Ziemi Wschodnich • Powojenne deportacje i migracje • Zasiedlanie i osławanie Ziemi Zachodnich • Korowody z nazwami • Piastowski mit, antyniemiecki lęk



26,99 zł

180 STRON EKSTRA

[Kup książkę](#)

Zerwana rutyna

Kryzys koreański wszedł w najostrejszą fazę od lat. Przyczyniły się do tego nowe okoliczności.



Taktyka USA. Donald Trump odszedł od języka poprzedników. Zapowiada, że Ameryka poczęstuje **Kim Dzong Una** „ogniem i furią”. Tak recenzuje blisko ćwierć wieku starań mających odwieść dynastię Kimów od budowy arsenału jądrowego i raketowego: Clinton – słaby i nieefektywny; Bush junior – to samo; „Obama? – nie chciał o tym rozmawiać”. Trump przypomina, że wyborcy zagłosowali na niego, by zaczął działać po nowemu. Faktycznie zrywa z rutyną, choć retorycznie i w swoim stylu chaotycznie. Np. w ciągu jednego dnia dwa razy postraszył Koreę wojną, by po spotkaniu z doradcami ogłosić, że daje szansę dyplomacji.

Dotąd główne role wydawały się trwale przypisane. Upraszczając, państwo Kimów gra uzbrojonego terrorystę, gotowego na spektakularne samobójstwo i przy okazji zgładzenie przetrzymywanych zakładników, własnych obywateli oraz mieszkańców Korei Płd. i Japonii, w których wymierzony byłby północnokoreański odwet za jakikolwiek atak. Kimowie nigdy nie chcieli zrezygnować ze zbrojeń, te są gwarancją trwania ich reżimu. Z kolei skonfliktowana z Koreą Ameryka była jeszcze policjantem starającym się przemówić szantażystę do rozumu, przedstawić korzyści wynikające z przestrzegania reguł współżycia społeczności międzynarodowej. Trump przepisał swoją kwestię. Policyjny negocjator zaczął grozić terroryście i daje do zrozumienia, że zakładnicy niespecjalnie go obchodzą. Nowością jest więc to, że przynajmniej chwilowo to Kim sprawia wrażenie bardziej opanowanego niż chwiejny Trump.

Tempo zbrojeń i widmo wojny jądrowej. Nie zdarzyło się, by państwa posiadające broń jądrową tak chętnie i intensywnie straszyły się atakiem. Według

sączonych do prasy raportów amerykańskiego wywiadu Korea Płn. może mieć już nie tylko rakiety zdolne dotrzeć na terytorium na południe od Kanady, ale także udało się jej na tyle zminiaturyzować głowice jądrowe, by nasadzić je na rakiety.

Korea Płn. na połowę sierpnia zapowiedziała ostrzał raketowy wód Pacyfiku wokół wyspy Guam. Celność rakiet jest zagadką, a Guam to amerykańskie bazy wojskowe i tysiące turystów na plażach, Ameryka powinna zareagować. Eksperci zwracają uwagę, że próba strącenia rakiet może ujawnić nieszczelności tarczy antyraketowej. Jednocześnie na przekór ogólnosiwiatowej histerii, skutkującej m.in. wzrostem cen akcji firm zbrojeniowych, w tym producentów elementów tarczy, brakuje doniesień, by amerykańskie wojsko przygotowało się do natarcia na Koreę. Podobnie szef CIA Mike Pompeo stwierdził, że nic nie zapowiada, by wojna jądrowa miała w najbliższym czasie wybuchnąć.

Kosztowne byłoby również np. jakieś chirurgiczne uderzenie na wyrzutnie rakiet czy ośrodki atomowe. Korea Płn. od ponad 60 lat przygotowuje się na odparcie inwazji i istotne instalacje poukrywała w górskich tunelach. Skuteczność ataku to jedno, istotniejsze jest pytanie o zakres północnokoreańskiej odpowiedzi; tylko w aglomeracji leżącej 40 km od granicy Seulu (stolicy sprzymierzonej z Ameryką Korei Płd.) mieszka ok. 25 mln osób. Trudno przewidzieć, co w obliczu otwartego konfliktu stałoby się z handlem morskim, krwiobiegiem światowej gospodarki. Jego wstrzymanie odczuliśmy wszyscy.

Rex Tillerson, stojący na czele amerykańskiej dyplomacji, objaśnia, że ostre słowa Trumpa o amerykańskiej potęgze jądrowej to tylko szantaż, ilustracja stawki sporu i ostateczne zaproszenie Kima do rozmów.

Wystosowane w języku i stylu, które Kim rozumie.

Chińczycy mogą niewiele. Korea Płn. pozostaje wasalem Chin, tyle że niesfornym i coraz trudniejszym do upilnowania. Na początku sierpnia Chińczycy przystali w Radzie Bezpieczeństwa ONZ na nałożenie kolejnych sankcji, tym razem ograniczających eksport północnokoreańskich surowców (90 proc. wszystkiego, co Korea wysyła w świat, kupują Chiny). Zdyscyplinowanie protegowanego jest w chińskim interesie, a ostatnim środkiem, jakim Chiny dysponują, jest odcięcie Kima od ropy naftowej. Chiny nie popierają jego zbrojeń, ale nie chcą też, by Amerykanie go skrzywdzili albo przebudowali architekturę polityczną Półwyspu Koreańskiego. Zlikwidowanie Kima, zmiana reżimu, głęboki kryzys na Północy skutkujący dużą migracją, zjednoczenie Korei, zgoda na wpuszczenie do klubu atomowego Korei Płd. lub Japonii – wszystko odpada, Chińczycy chcą, by zostało tak, jak jest.

Kevin Rudd, dobrze znający Chiny były premier Australii, podejrzewa, że wojna na Półwyspie jest możliwa, ale Chińczycy obstawiają, że Trump (raczej) blefuje. Nie zaryzykuje jakiegokolwiek akcji zbrojnej prowadzącej do nowej politycznej ery na Dalekim Wschodzie. Rudd twierdzi, że jedynym sposobem uspokojenia sytuacji jest porozumienie amerykańsko-chińskie, wspólna oferta dla Kima, złożona z amerykańskich zachęt i chińskich gwarancji. Na to się jednak nie zanosi, trudno sobie wyobrazić wspólne przedsięwzięcia, gdy Trump rysuje perspektywę wojny handlowej z Chinami.

Koreańczycy pozostaną więc zakładnikami sporu mocarstw. I akurat to się nie zmienia.

JĘDRZEJ WINIECKI

Wenezuele dwie

Co zrobić, kiedy parlament opanowała opozycja? Wybrać drugi, lojalny, i nazwać go Zgromadzeniem Konstytucyjnym.

Wenezuela ma dwa parlamente. Wbrew apelom z bliższej i dalszej zagranicy, w tym papieża Franciszka, 545-osobowe Zgromadzenie Konstytucyjne (ZK), złożone z osób lojalnych wobec prezydenta Madury, w tym jego żony i syna, rozpoczęło działalność i ostro wzięło się do roboty. Akurat najmniej związanej z pisanem nowej konstytucji. Po pierwsze, uznało się za najwyższy autorytet polityczny Wenezueli. Po drugie, zabroniło parlamentowi, gdzie większość ma opozycja (a przy okazji też Sądowi Najwyższemu), jakichkolwiek postanowień stojących w sprzeczności z decyzjami ZK. Po trzecie, powołało Komisję Sprawiedliwości i Prawdy, rodzaj trybunału do osądzania opozycji, gdzie stawiennictwo jest obowiązkowe.

Komisja, zdaniem **Delcy Rodriguez** (na fot. w czerwonym stroju), wpływowej przewodniczącej ZK, byłej minister spraw zagranicznych, to „potężne narzędzie do walki z przemocą, nienawiścią i nietolerancją”. W inauguracyjnym przemówieniu określiła opozycję jako faszystów i zapowiedziała, że „bezkarność się skończyła”. Zaapelowała też do zagranicy, aby nie wtrącała się w wewnętrzne sprawy Wenezueli. Kolejną decyzją odwołano prokurator generalną Luisę Ortegę, główną krytyczkę władz.



© REUTERS/FORUM (3)

ZK z własnego nadania, może wszystko, na przykład pozbawić parlamentarzystów immunitetu albo w ogóle rozwiązać legislaturę. Samozwańczego Zgromadzenia nie uznały główne państwa regionu, Unia Europejska ani USA: administracja Trumpa nazwała Madurę dyktatorem, nałożyła sankcje, a sam Trump wspominał o interwencji zbrojnej. Najwierniejszym sojusznikiem Madury pozostaje Moskwa.

Z ostatniej chwili: w ciągu pierwszego tygodnia od inauguracji ZK czarnorynkowy kurs dolara skoczył z 10 do 17 tys. boliwarów.

Krwawe Rio

8,5 tys. żołnierzy pomaga opanować sytuację, która wymknęła się spod kontroli.



Rok po igrzyskach olimpijskich, które potwierdziły całemu światu urok i zalety **Rio de Janeiro**, miasto ogarnęła rekordowa fala przestępczości. Głównie w fawelach. Symptomatyczna była decyzja rządu o natychmiastowym rozmieszczeniu 8,5 tys. żołnierzy z sił policji wojskowej, aby pomogli opanować sytuację, która wymknęła się spod kontroli. W ciągu pierwszego półrocza zanotowano w Rio 3457 zabójstw, do sierpnia zginęło 93 policjantów, w tym

ostatnio trzech zastrzelonych przez bandytów w wozie patrolowym. A z kolei z rąk policji zginęło w tym czasie 581 osób, w tym szereg przypadkowych ofiar wymiany ognia z uzbrojonymi bojówkami.

Rangi symbolu nabrała historia ciężarnej Claudine dos Santos, która została śmiertelnie ranna w takiej strzelaninie, syna uratowano, ale zmarł po miesiącu z odniesionych obrażeń. Krytycy opcji wojskowej są zdania, że za te same pieniądze skuteczniejsza byłaby lokalna policja dobrze znająca teren. Od 2008 r. toczy się prawdziwa wojna w fawelach, a specjalnie utworzone „jednostki pacyfikacyjne” policji (UPP) osiągnęły pewne sukcesy: wygoniły z faweli handlarzy narkotyków i założyły posterunki.

Ale od olimpiady wszystko zjeżdża po równi pochyłej, bo nie ma pieniędzy (liczące 6,5 mln mieszkańców Rio będzie miało w tym roku 1 mld dol. deficytu), a w ślad za pacyfikacjami nie nadążyły programy społeczne, wiadomo: recesja. Teraz strzelaniny i ataki handlarzy narkotyków na policję są na porządku dziennym, również dlatego, że zabójstwa w 90 proc. uchodzą bezkarnie. Inną plagą są porwania ciężarówek, z których bandy rabują towar; w tym roku zanotowano już 10 tys. takich przypadków.

Jeśli mowa o symbolach: w czerwcu po serii 58 napadów z bronią na turystów zamknięto szlak na Corcovado, do figury Chrystusa, przyjezdnym odradza się odwiedzanie słynnych plaż, Copocabany i Ipanemy, a doradza, żeby w przypadku napadu nie szarpać się o torebkę czy plecak, bo zbior może być uzbrojony i najejony.

Wartości rodzinne

Oklaskiwaliśmy wyborcze zwycięstwo Emmanuela Macrona, lecz przecież zdecydowała nie tylko udana kampania, ale i przypadek. Na czele sondaży stał kandydat Republikanów François Fillon. Dopiero kiedy wyszło na jaw, że ogromne pieniądze publiczne przeznaczał na fikcyjne zatrudnienie własnej żony Penelopy – Fillon pogrzebał swoje szanse.

Opinia publiczna była zdegustowana skandalem, tym bardziej że Fillon nie stronił od moralizatorskich, katolickich deklaracji. Pierwszym zamierzeniem Macrona była „ustawa o zaufaniu w życiu politycznym”; właśnie uchwalił ją parlament. Posłom, senatorom, ministrom i radnym nie wolno będzie – pod karą więzienia – zatrudniać członków najbliższej rodziny. Ponadto wydatkowanie funduszy wypłacanych posłom i senatorom – poza pensją, na pokrycie kosztów funkcjonowania – ma być poddane kontroli.

Zwycięska partia odtrąbiła sukces i mówi o umoralnieniu życia publicznego, ale Republikanie natychmiast zaskarżyli ustawę do Rady Konstytucyjnej – odpowiednika Trybunału Konstytucyjnego w Polsce. Przegrana partia opozycyjna twierdzi, że dyskryminacja rodziny w zatrudnieniu jest sprzeczna z konstytucją i nie służy żadnemu interesowi społecznemu. Także komentatorzy podeszli do ustawy sceptycznie. Chodzi o niemałe pieniądze: na przykład poseł, poza pensją, dostaje na wspomniane wydatki 5373 euro miesięcznie; skandal z Fillonem potwierdza powszechną opinię, że przekazywanie tych środków rodzinie stanowi częstą praktykę. Czy zagrożenie karami ją wykorzeni?

Prezydent między prawicami

Andrzej Duda, nawet jeśli walczy tylko z Ziobrą czy Macierewiczem, podważa przywództwo prezesa Kaczyńskiego. To jednak nadal spór w prawicowej rodzinie.

W

RAFAŁ KALUKIN

Wgląda na to, że „Adrian” bezpowrotnie wyprowadził się z przedpokoju prezesa. Wbrew nadziejom najbliższego kręgu Kaczyńskiego prezydenckie weta nie okazały się jednorazowym incydentem. Andrzej Duda stał się suwerenną figurą polskiej polityki i najwyraźniej dobrze się z tym czuje.

Blokując generalskie nominacje, prezydent potwierdza ten kurs. Niemrawa odpowiedź rządu pokazuje zaś, że PiS nie bardzo dziś wie, co z tym począć, i najwyraźniej czeka aż Dudzie przejdzie. Wedle logiki państwowej sytuacja jest oczywista: skoro minister obrony nie jest w stanie stworzyć choćby elementarnych kanałów komunikacyjnych ze zwierzchnikiem sił zbrojnych, powinien odejść. Problem w tym, że Macierewicz jest przede wszystkim jednym z pisowskich notabli, głównym strażnikiem partyjnej ortodoksji. Konfrontacja prezydenta z szefem MON – niezależnie od jej wymiaru kompetencyjnego – staje się więc przy okazji symbolicznym sporem dwóch fundamentalnych prawicowych wrażliwości.

Zemsta jest słodka

Clausewitz pisał, że wojna jest „cudowną trójką”, połączeniem ślepego instynktu nienawiści, zbiegów okoliczności oraz politycznego rozumu chroniącego walczące strony przed totalnym chaosem. W polskiej polityce zarządzanej regułami wojennymi widać to doskonale.

Ustawy o sądach miały być kluczową ofensywą toczoną od ponad dekady krucjaty. Politycy partii rządzącej i medialni propagandyści bez ceregieli utożsamiali niezależną władzę sądowniczą z wrogiem „obozem III RP”. Nie trudzono się nawet nad opisem nowego ładu w sądach. Jedynym źródłem impetu było zniszczenie starego. Tym bardziej szokująca była wolta Dudy. Jeśli bowiem mieliśmy do czynienia z decydującą ofensywą, to – przyjmując perspektywę ortodoksów – prezydent dopuścił się zdrady własnego obozu.

Symptomy buntu nasilały się już od kilku miesięcy. Zaczęło się od czkawki korespondencyjnej w relacjach z MON. Generałowie odchodzili z armii, prezydent słał pisma z żądaniami wyjaśnień, minister milczał. Tuż po sądowych wetach Macierewicz wykonał akcję odwetową: podległe mu SKW



zawiesiło gen. Jarosławowi Kraszewskiemu z Biura Bezpieczeństwa Narodowego prawo dostępu do informacji niejawnych. To najwyższy rangą wojskowy doradca prezydenta, odpowiedzialny m.in. za opiniowanie nominacji generalskich. Odmowa ich podpisania przez głowę państwa jest więc odpowiednią logiczną.

Kolejne etapy przyspieszonej emancypacji prezydenta wyznaczane były przez dymisję szefowej kancelarii Małgorzaty Sadurskiej (podejrzewanej o zbyt bliskie związki z centralą PiS), ogłoszenie nieskonsultowanej inicjatywy referendum konstytucyjnego oraz weto ustawy o Regionalnych Izbach Obrachunkowych.

Nowogrodzka przyglądała się bez entuzjazmu, lecz nie komentowała. Prezydent zredukowany do roli marionetki dawał komfort w rządzeniu. Lecz wiadomo było, że „Adrianowi” trudno byłoby pokonać Tuska w kolejnych wyborach. Osobisty interes prezydenta pokrywał się zatem z interesem obozu. Tym, co obie strony dzieliło, był kontekst emocjonalny. I sposób traktowania przez PiS lokatora Pałacu.

Im mocniej Duda zginał kark, tym bardziej był upokarzany. Autoryzując konstytucyjne delikty, osobiście ryzykował Trybunałem Stanu. Spalił mosty z własnym środowiskiem prawniczym. Wreszcie stał się figurą satyryczną z internetowych memów i politycznego kabaretu. Od Kaczyńskiego doczekał się za to jedynie upokarzającej odmowy publicznego podania ręki.

Zdaniem George’a Orwella zemsta zawsze bierze się z bezsilności. Lecz gdy człowiek nabiera już siły, pragnienie odwetu przechodzi. Otwiera się bowiem zupełnie nowe pole racjonalnego działania. I tak pewnie było z prezydentem. Odgrywając się za wszystkie upokorzenia, odzyskał podmiotowość. Pytanie, do czego jej teraz użyje.

Strażnik spokoju

Gdy Andrzej Duda ogłaszał weta ustaw sądowych, wielu protestujących na ulicach obywateli zapewne uznało, iż prezydent odnalazł powołanie strażnika konstytucji. Należałoby jednak zachować ostrożność. Okoliczności podjęcia tych decyzji oraz jej uzasadnienia dowodzą czegoś innego.

Interwencja Dudy w proces legislacyjny zaczęła się od żądania wpisania do ustawy zasady, iż członków KRS wybiera się sejmową większością trzech piątych. A zatem główny sens „reformy” uzależniający władzę sądowniczą od politycznej nie został podważony. I dopiero gdy Kaczyński de facto odrzucił ultimatum, prezydent zawetował dwie kluczowe ustawy, wracając tym samym stół. Lecz zrobił to w taki sposób, aby kluczowy motyw ukryć. Protestującym obywatelom pokłonił się jako „prezydent wszystkich Polaków”. A wyborcom PiS zasugerował, że podpisanie ustaw spowodowałoby dalsze protesty bezpośrednio zagrażające już rządowi prawicy.

Stwierdził w uzasadnieniu: „Nie chcę, żeby ta sytuacja się pogłębiała, dlatego że to pogłębia podział w społeczeństwie. A Polska jest jedna i potrzebuje spokoju. I ja czuję za to odpowiedzialność jako prezydent”. Trudno było przeoczyć sprytnie przemyczone hasło niedawnego kongresu PiS w Przysusze („Polska jest jedna”). Za szczególnie bałamutne należy zaś uznać odwołanie do spokoju społecznego. Demagogicznie zrównywało to przyczynę ze skutkiem. Pisowską akcję i uliczną reakcję uznawało za równie szkodliwe.

Już po wetach linię demarkacyjną wyznaczył sam Kaczyński: nowe prezydenckie projekty muszą uwzględniać reset Sądu

Najwyższego. Tego celu prezydent otwarcie nie podważał. A zatem mamy do czynienia co najwyżej z politycznym sporem dwóch wrażliwości w obrębie obozu „dobrej zmiany”.

Prawice dwie

Pisał autor artykułu opublikowanego na łamach „Tygodnika Powszechnego” w 1995 r.: „Są więc na prawicy partie najbardziej prorynkowe, najbardziej katolickie, najbardziej niepodległościowe. Są ortodoksyjni narodowcy i radykalni republikanie, najwierniejsi kontynuatorzy ugrupowań sprzed stu lat i najgorliwsi naśladowcy wzorów zachodnich. Ponieważ wszyscy deklarują się jako przeciwnicy komunizmu, również i w tej dziedzinie następuje swoista licytacja”.

W gąszczu prawicowych nurtów tamtego czasu wyraźnie zaznaczał się jednak podział nadrzędny. Po jednej stronie zapatrzeni w zachodnie wzorce inteligenci, umiarkowani konserwatyści, godzący się z regułami tego świata polityczni realisci. Po drugiej – niepoprawni rewolucjoniści, tropiciele spisków, bezkrytyczni wskrzesiciele zamierzchłych tradycji.

Autorowi tekstu z „TP” marzyła się „normalność” na wzór zachodni. Jego tekst zaczynał się od wyobrażonej sylwetki wyborcy torysów, gaullistów albo niemieckich chadeków: „mężczyzny w średnim wieku, w krawacie i ciemnej marynarce, który w metrze rozkłada przed sobą płachtę rządowej gazety albo tkwiąc w ulicznym korku w swoim średniej klasie samochodzie, słucha w radiu muzyki z lat 70., przeplatanej gieldowymi wiadomościami”. Apetyczna fantazja o mieszczechu z klasy średniej została skonstrastowana z krajowym

„rozchełstany brodaczem w ortalionowej kurtce i wytartych spodniach, który na związkowej manifestacji pod generalnym hasłem »wszystkim po równo« wymachuje pięściami, skandując »precz z komuną«”.

„A wystarczy nie tak wiele. Przepędzić maniaków, przestać straszyć i pouczać, nie obrażać się na rzeczywistość” – konkludował publicysta. Był nim... obecny szef klubu parlamentarnego PiS Ryszard Terlecki.

W tamtej epoce prawicowa inteligencja wierzyła, że gdy wreszcie uda się wyłonić wspólne listy i wygrać wybory, w pragmatyce rządzenia nurt zdroworozsądkowy wcześniej czy później zdominuje folklorystów. Choć już wtedy Antoni Macierewicz miał przekonywać Jarosława Kaczyńskiego – o czym ten opowiadał Teresie Torańskiej – że za inteligentką formułą prawicy (w tym Porozumienia Centrum) stoi pusty zbiór społeczny. Według Macierewicza polska prawica musiała być populistyczna, narodowa, bogoojczyźniana.

I taka w kolejnej dekadzie faktycznie się stała. Najpierw jednak musiała osiągnąć upragniony stan jedności. Po klęsce AWS widać już było, że na drodze negocjacyjnej nie da się jej stworzyć. Można ją było jedynie wymusić siłą. I tą drogą poszedł Jarosław Kaczyński. Zbudowany na prawicowym gruzowisku PiS początkowo był kadrową partią jednego tematu (tj. walki z przestępczością). W kolejnych latach na własnych warunkach kooptował kolejne nurty i tradycje. Na co dzień preferując najradykalniejsze i najbardziej demagogiczne, będące klejem formacji. Od święta dopuszczając do głosu te umiarkowane.

Synteza była więc pozorna. Oba prawicowe style łączyło tylko uznanie zwierzchnictwa Kaczyńskiego. Prawicowa inteligencja w mediach nieraz się krzywiła na cyniczne spuszczenie z łańcucha to jednych, to drugich. Koniec końców przyjmowała jednak te zawijasy z dobrodziejstwem inwentarza. Jedność ►

Im mocniej Duda zginał kark, tym bardziej był upokarzany. Autoryzując konstytucyjne delikty, osobiście ryzykował Trybunałem Stanu.